

Waldemar Kuczyński.

### KTO TO TA POSTKOMUNA.

Działania obu Komisji Śledczych wytworzyły klimat zachęcający do tropienia przestępczych układów. W tym klimacie powróciła na czoło debaty publicznej sprawa „układu postkomunistycznego”, czyli zorganizowanej, gigantycznej struktury złożonej głównie z ludzi peerelowskiego establishmentu. Miała ona powstać dzięki okrągłemu stołowi i nie przeprowadzeniu dekomunizacji.

„..... za grubą kurtyną - mówił w wywiadach dla „Polityki” i „Gazety Wyborczej”, Jarosław Kaczyński - jest drugi skrzętnie skrywany świat... To zespół całkowicie pozaprawnych powiązań między ludźmi, którzy naruszają prawo, często nawet prawo karne .... To ludzie, którzy wywodzą się z peerelowskich struktur, zwłaszcza z dawnego aparatu partii i bezpieczeństwa. Ci ludzie stworzyli układ wtórnej, pozaprawnej dystrybucji dóbr, władzy i prestiżu... ludzie PRL stanowią trzon... układu, ale nie brak w nim osób, które trafiły do układu drogą kooptacji. Korzystając z uprzywilejowanego miejsca w strukturze państwa, ludzie dawnego systemu bogacą się na majątku publicznym.... Na przykład dzięki układom kupują za bezcen grunt od państwa lub samorządu, sprzedają go wielokrotnie drożej na wolnym rynku i po obdzieleniu wszystkich ogniwi układu zysk chowają do kieszeni”.

Kaczyński i jego partia chcą tak przez siebie postrzegany układ zniszczyć. Podobne zamiary ma LPR i część PO. Te trzy partie rządu nie utworzą, ale do wykańczania „komuny” mogą się dogadać. PiS proponuje delegalizację SLD i inne radykalne środki. Powstaje pytanie, czy państwowa krucjata przeciw owemu „układowi”, to będzie walka z patologią, czy bezsensowna wojna z częścią społeczeństwa? Aby odpowiedzieć na to pytanie warto cofnąć się do początku PRL i prześledzić, jak powstawała rzeczywistość, która dostarczyła, nie tyle argumentów, ile pretekstu do formułowania takich, jak Kaczyńskiego teorii.

Powiem niejeden truizm, ale trzeba je powtórzyć dla czytelników, którzy PRL-u nie pamiętają. Po II wojnie światowej Polska została państwem wasalnym Związku Radzieckiego. Nikt, ani my, ani Zachód, nie mógł temu zapobiec, ani tego odwrócić przez 45 lat. Naród uwięziono w „socjalistycznym obozie”. Polacy nie chcieli ustroju, który został wprowadzony. Nie dotyczyło to komunistów, dawnych członków Komunistycznej Partii Polski, widzących we wkraczającej Armii Czerwonej szansę spełnienia marzeń, na co wcześniej nie mogli liczyć. Marzyli o Polsce budowanej w braterstwie z ZSRR i, wtedy, z miłością do Józefa Stalina. Było ich jednak niewiele.

Naród musiał trwać. Wychodził z koszmaru okupacji hitlerowskiej wykrwawiony, wyczerpany, pragnący, jakiej takiej normalności. Wprowadzenie komunizmu rozdarło go, na mniejszość, która Polską rządziła i resztę, która była jej poddana, niekiedy się buntując, ale na ogół tolerując

niemożliwy do zmiany stan rzeczy. Jeśli chcemy prawdy o PRL, a prócz martyrologii jest w niej trwanie, to trzeba w znanym podziale na „My” i „Oni” dostrzec rozdarcie narodu, a w nim dopiero szukać, trudnego do wytyczenia podziału na patriotów i kolaborantów, na porządnych i łajdaków. Trudnego, bo przecinającego obie strony głównego rowu. Patriotci i ludzie porządni byli także wśród „nich”, a łajdacy i kolaboranci również wśród „nas”. Mało to zwykłych ludzi, bez przymusu, donosiło do UB i SB, na sąsiadów, na kolegów z pracy, na znajomych? Historia PRL jest przede wszystkim historią rozdartego narodu, to ujęcie bliższe prawdy niż wizja okupacji i kolaborującej z okupantem garstki, która prześladowa resztę.

Państwo komunistyczne wspierało się na licznych aparacie administracyjnym i represyjnym oraz na masowej partii (PZPR), partiach satelickich (ZSL, SD) i organizacjach społecznych, będących „transmisjami woli partii do mas”. Partyjne masy, aparat państwowy, aparaty partii oraz organizacji - transmisji tworzyły warstwę rządzącą, nomenklaturę, która - łącznie z rodzinami - obejmowała 10 - 15 % społeczeństwa, może nawet więcej. Wszyscy tworzyli bazę ustroju, choć tylko część o czymś decydowała. Wyobrażeniu o garstce komunistów po jednej, a narodzie po drugiej stronie odpowiadała sytuacja przez kilka miesięcy po wejściu Armii Czerwonej do Polski. Ale ona szybko się zmieniła, przez dobrowolne, w większości przypadków, wstępowanie setek tysięcy Polaków do PPR, PPS, ale także do organów represji, UB, milicji i ORMÓ. Komunistyczna garstka obrastała częścią narodu, który z różnych motywów zdecydował się dołączyć

do tych, co mieli rządzić. Jedni szli tam z wściekłości na zachodnich aliantów, uważając, że mogli nie zostawić nas na pastwę Stalina, a zostawili. Inni, bo chcieli odbudowywać kraj i życie osobiste. Jeszcze inni, bo uwierzyli w socjalizm, jak wielka część inteligencji, a także wielu ludzi, szczególnie młodych, z niskich warstw społecznych, chłopskich i robotniczych. Oczywiście szli tam też karierowicze w najgorszym tego słowa znaczeniu, osobnicy z najpodlejszego słoja narodu, który podczas okupacji rodził szmalcowników i donosicieli, ale też Polacy. Szli wreszcie ludzie przerażeni. To były czasy wielkiego terroru. Przez 6 lat (1944-1949) zapadały średnio dwa wyroki śmierci dziennie, a tylko w latach 1945 - 46 z powodów politycznych aresztowano 100 tys. osób. Bezpieczniejszy wydawał się akces do władzy, a wrota stały otworem, bo zapotrzebowanie na przyszłą nomenklaturę było ogromne. Kiedy to się stało po obu stronach znalazł się naród postawiony naprzeciw siebie, przez logikę sytuacji. Tak się stać musiało, bo żadne społeczeństwo pod obcą dominacją, któremu pozwolono stworzyć rodzimy zarząd, choćby w postaci dyktatury, nie uniknęłoby rozdarcia i skłócenia. Przykład okupacji niemieckiej, jako argument, że i po roku 1945 mogło nie być Quislingów jest zły, bo Niemcy nie dali Polakom takiej możliwości, jaką dał Stalin, a ponadto była wojna, sytuacja płynna, nietrwąca. Rozdarcie i skłócenie było ceną, jaką zapłaciliśmy za możliwość istnienia Polski z zarządem polskim, a nie z obcym, co było mniejszym złem dla narodu. Nie rozgrzeszając zbrodni popełnionych w PRL, ani krzywd i łajdactw, którym dyktatura stwarzała niezliczone okazje, trzeba

powiedzieć, że racje narodowe w 45 - leciu były po obu stronach. Była racja trwania w możliwie znośnych warunkach, jak długo na zmianę sytuacji nie było rady. Wielu ludzi dawnej nomenklatury ma prawo powoływać się na tę rację, jako uzasadnienie, dlaczego wybrali miejsce po tamtej stronie. Także wtedy, gdy byli przekonani, że drzwi „obozu” zatrzęsęły się za Polską na zawsze, że dożywotnia dyktatura proletariatu jest naszym losem, któremu nie należy się sprzeciwiać, bo to tylko sytuację pogorszy. I była racja wyzwolenia ze stanu nienormalnego, odzyskania niepodległości i obywatelskich praw, racja najbardziej fundamentalna, bo zniewolenie, jakkolwiek byłoby uzasadniane, jest przestępstwem wobec prawa przyrodzonego, jest złem. W roku 1981 te dwie racje stanęły naprzeciw siebie dramatycznie. W roku 1989 pierwsza bez entuzjazmu, ale i bez oporu ustąpiła miejsca drugiej, to bardzo wymowne i coś mówi.

Przez całą jej historię mniejszość siłą dominowała nad większością i to był fundament ich stosunków. Same stosunki między nimi układały się jednak różnie. Były, nakazane z Moskwy, ale wykonywane polskimi rękami, często z zapamiętaniem i nienawiścią do „wroga klasowego”, masowe prześladowania i zbrodnie popełniane przez rządzących i była zrozumiała, bezsilna nienawiść ze strony rządzonych. Były bunty i bitwy, ale i chwila zbliżenia podczas destalinizacji w roku 1956 i tolerowanie, raz bardziej nieufne, a raz mniej. Reżim, też się zmieniał, nie od strony instytucji, tu był stabilny, ten sam, co za Stalina, lecz od strony praktyki. Brutalny, zbrodniczy do śmierci tego największego ludojada, potem, aż do kresu

łagodniał, z dwoma przymrozkami; w roku 1968 i w pierwszych latach stanu wojennego. Nie reformował się, lecz starzał i tracił zęby. W końcu upadł bez wielkich wstrząsów. Ustrój upadł, ale ślady rozdarcia, które spowodował i żywił przez prawie pół wieku zostały. Jednym z nich jest istniejąca do dziś liczna mniejszość społeczna, część narodu, należąca kiedyś do szeroko pojętej nomenklatury. Są tam ludzie o różnych biografiiach, ukształtowanych przez kolejne etapy ewolucji socjalizmu realnego. Są nieliczni już nomenklaturowcy obciążeni zbrodniami stalinizmu i późniejsze generacje, coraz bardziej wysterylizowane z ideologii komunistycznej, coraz bardziej zmaterializowane, i coraz mniej przywiązane do ustroju, w końcu podobnie nim zmęczone, jak poddana im reszta społeczeństwa. To także dzięki temu ustrój jałtański, gdy przyszła dobra pora, został w Polsce zlikwidowany właściwie „za obopólnym porozumieniem stron”, w sposób dla narodu nie dotkliwy, choć wyklinany przez moralnych estetów.

W odróżnieniu od rządzonej większości, którą system PRL atomizował, dla lepszej kontroli, warstwa rządząca ulokowana w ogniach peerelowskiego państwa była lepiej zintegrowana, powiązana bogatą siecią zależności; solidarnością, znajomością, przyjaźnią, nawet związkami rodzinnymi. Bardzo wielu z tej warstwy, szczególnie z jej wysokich kręgów, ale nie tylko, straciło, po roku 1989, posady w administracji, centralnej i lokalnej, a także w państwowej gospodarce. Wielu jednak, szczególnie ze szczebla niższego, pozostało, bo państwo i gospodarka musiały działać. Ludzie nomenklatury, zintegrowani, częściowo włączeni nadal w struktury

państwa i gospodarki, korzystający z przewagi kwalifikacji, mieli lepsze niż reszta społeczeństwa warunki odnalezienia się w nowej rzeczywistości. Włali się szeroką falą w rosnący sektor prywatny, jako przedsiębiorcy i kwalifikowani fachowcy, także dla firm zagranicznych. Mają poważny udział w sukcesie polskiej transformacji i stosowny do tego udział w patologiach oraz nadużyciach. Mieli lepsze możliwości sięgnięcia po państwową własność i w zgodzie i w konflikcie z prawem, w okresie sprzyjającym zawłaszczaniu dóbr publicznych, ze względu na zamieszanie i chaos prawny, zawsze towarzyszące początkowi wielkich przemian. Te przewagi na starcie, zawdzięczone służbie Polsce Ludowej, taka jest prawda, sprawiły, że dawna warstwa rządząca potrafiła lepiej wykorzystać możliwości, jakie dała wolność i rynek, niż miliony zwykłych ludzi, także tych, którzy tworzyli „Solidarność”.

To przykre i niesprawiedliwe, ale tej nierówności startu w nową rzeczywistość nie można było usunąć, nie zapobiegłaby jej najbardziej radykalna dekomunizacja, z dających się wyobrazić w roku 1989. Nigdzie się to nie udało. Również w Czechach, podawanych, za wzorzec dekomunizacji. Autentyczna komunistyczna partia jest tam trzecią siłą polityczną. Dawny establishment, także ze służb specjalnych, umościł się w gospodarce i polityce nie gorzej niż u nas. Niedawno minister spraw wewnętrznych zdekomunizowanych Czech zapowiadał powołanie „Rady Mędrców”, złożonej z autorytetów niepolitycznych, dla przecinania powiązań dawnych służb i nomenklatury, z polityką i biznesem, których dekomunizacja nie przecięła,

bo nie mogła. Radykalne odsunięcie dawnej warstwy rządzącej od wpływów na państwo, gospodarkę i życie publiczne nie mogło się powieść z dwu powodów. Po pierwsze, bo, nie można wprowadzać demokracji, wolności obywatelskich i państwa prawa, a zarazem pozbawiać praw, czy ograniczać w nich dużą część narodu, jaką w krajach komunistycznych byli rządzący. Wolność nie daje się przepisywać na receptę, jednym tak, a innym nie. Po drugie, bo, nigdzie i nigdy rewolucje, nawet o wiele bardziej radykalne, niż rok 1989, nie mogły obyć się, bez zostawienia na stanowiskach dużej części ludzi z dawnego establishmentu. Tylko oni mieli kwalifikacje potrzebne dla funkcjonowania państwa i tylko ich było dostatecznie dużo, by temu podołać. Carska nomenklatura, także wojskowa i policyjna, wykorzystywana była długo po rewolucji październikowej. Drugą Rzeczpospolitą tworzyły legiony urzędników i wojskowych, którzy służyli zaborcom, a w teczki im nie zaglądano, bo je zniszczono. Nawiasem mówiąc to była jedyna „gruba kreska”, do której pasuje treść przypisywana słowom premiera Mazowieckiego. Do PRL-owskiej nomenklatury od roku 1944 dołączały tysiące specjalistów, urzędników, wojskowych, z czasów drugiej RP. A dziś na przykładzie Iraku widzimy, jaki cios wymierzili sobie Amerykanie dokonując, radykalnej „desadamizacji”, czyli niszcząc gruntownie struktury państwa Huseina. Przypomniał im to niedawno prezydent Iraku. Nawet w rewolucjach bardzo krwawych nie można zerwać ciągłości tkanki życia, sieci powiązań i solidarności grupowych, a także grupowych przewag związanych z uprzywilejowaną pozycją w społeczeństwie przedrewolucyjnym. Chyba, że



mamy terror trwający dziesięciolecia, jak w stalinowskiej Rosji, który fizycznie likwiduje także kolejne pokolenia wcześniej uprzywilejowanych warstw.

Na pytanie, więc, czy istnieje „układ postkomunistyczny” odpowiadam - tak. Istnieje, jeżeli rozumiemy go socjologicznie, jako mniejszość, ale liczną mniejszość narodu, która ma świadomość, że należała do warstwy rządzącej w PRL, która z racji dawniej pełnionych stanowisk powiązana jest bogatszymi niż inne grupy społeczne więziami solidarności i zależności. Uraz po przegranej i lęk przed odwetem jeszcze je wzmocniły. Jest to społeczność o silnej politycznej tożsamości, o największym upartyjnieniu (patrz liczebność SLD w porównaniu z innymi partiami), a także o wspólnym wyobrażeniu wroga, jakim jest szeroko pojęta formacja solidarnościowa. Tak rozumiany układ postkomunistyczny, relikw dawnego rozdarcia narodu, które nie chce się zbliżyć, bo rozdrapują je obie strony, jest liczącą się częścią tkanki społecznej. Może się ów „układ” nie podobać ze względu na pochodzenie. Prawdą jest też, że środowiska dawnej nomenklatury lepiej, niż inne zawłaszczają państwo, gdy dostają władzę do ręki, właśnie przez bogactwo powiązań, i zakodowane z dawnych lat przekonanie, że rządzącym należą się „pożytki” z państwa. To wszystko prawda, ale tej tkanki społecznej, nie da się przemielić, żadna dopuszczalna w demokracji polityka nie zepchnie dawnej warstwy rządzącej w niebyt. Takie „układy” istnieją we wszystkich krajach pokomunistycznych, także w nominalnie zdekomunizowanych.

Obecność tej szczególnej społeczności dostarcza okazji do formułowania politycznej tezy o zorganizowanej, na wzór podziemnego rządu strukturze, która w przestępczy sposób dokonuje redystrybucji dóbr i władzy. Jarosław Kaczyński nawet nazwę jej nadał - Centralny Ośrodek Dyspozycji Politycznej. Różnica pomiędzy tym, co daje się zaobserwować i jakoś udowodnić, jeśli chodzi o status postkomunistycznej warstwy, a tym, co mówią niektórzy politycy i publicyści prawicy, jest taka, jak różnica między wpływami żydowskiej diaspory, a tezą autorów „Protokołów Mędrców Sionu”, że istnieje żydowski podziemny rząd światowy. W obu przypadkach mamy paranoidalne myślenie, zwane popularnie detektywistycznym patrzyeniem na świat i będące plodem przerostu podejrzliwości. Jest to myślenie, które zatruwa. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” („Będziemy Radykalni” 12.11.br) Jan Rokita odpowiadając na pytanie o układ postkomunistyczny tak odpowiedział; „To jest na tyle niejasny fantom, że pod tym hasłem można zabrać się za dowolną osobę w państwie”. Chorobliwa podejrzliwość, w połączeniu z władzą to groźna mieszanka, wielokrotnie wypróbowana w historii z różną intensywnością i szkodliwością, czasem ogromną. Takie myślenie może skierować państwo na wojnę z częścią narodu, na leczenie kraju, ze zła przy pomocy odpowiedzialności zbiorowej.

Powstawaniu „układów” i patologii, które mogą rodzić, sprzyja burzliwe życie czasu wielkiej przemiany i niezwykle awans pieniądza w hierarchii społecznych wartości. Byłoby niedobrze gdyby „układy”, zaczęto dzielić „na

nasze”, będące owocem sukcesu, i „nie nasze”, będące dzieckiem przestępstw. A coś takiego, zrobił Jarosław Kaczyński, naczelny tropiciel układu „czerwonego”, mówiąc, w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”, z wielką sympatią, o imperium Spółdzielczych Kas Oszczędnościowo - Kredytowych, opisanym w „Polityce”. Z patologiami „układu postkomunistycznego” trzeba walczyć tak, jak z innymi, również tymi z „układów nie postkomunistycznych”, bo i one istnieją. Trzeba usuwać to, co sprzyja tolerowaniu korupcji, trzeba doskonalić prawo, by ograniczyć okazje do nadużyć, i trzeba skutecznej kontroli państwowej, sejmowej i medialnej, a nie nadzwyczajnych ustaw przeciw postkomunistom.

**(Wersja publikowana - "Kto to ta postkomuna" - "Polityka" nr. 4/2005)**